Nr. 18. Warszawa, d. 16 Września 1907 r. R. IX

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Ś-to Krzyzka 36 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).

KALENDARZYK MYSLIWSKI.

We wrześniu wolno polować na: dziki, łosie (byki), jelenie (byki), sarny (rogacze), zające głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, dropie i wszelkie ptactwo przelotne, a od 1 (14) września na klępy, łanie i kozy.

Lunacya we wrześniu.

Pełnia d. 21 o g. 11 m. 8 w.
Ost. kw. d. 29 o g. 1 m. 11 w.

Wschód i Zachód Słońca

we wrześniu.

Dnia	Wschód g.	Wschód m.	Zachód g.	Zachód m.
16	6	36	6	13
17	5	38	6	11
18	5	40	6	8
19	5	41	6	6
20	5	42	6	4
21	5	44	6	2
22	5	45	5	59
23	5	46	6	57
24	5	48	5	55
25	5	50	5	52
26	5	52	5	50
27	5	54	5	48
28	5	56	5	44
29	5	58	5	43
30	5	59	5	40

ROMUALD WIĘCKOWSKI

Adwokat przysięgły. ** Chmielna 22**

Istnieje od 1864 r.

ZAKŁAD

wypychania zwierząt i ptaków

p. f.

Antoni Łastowski

dawniej S. WYSOCKI

pozostaje na dawnem miejscu t. j. na Krakowskiem-Przedmieściu Nr. 22.

A. Łastowski 8

Uczeń Delesalle'a w Paryżu.

Puhacz młody i koziołek

rocznik oswojony w pokoju i na dworze do sprzedania.

Adres: Zarząd Emilina, poczta Łęczna, gub Lubelska. 14

---

w Warszawskiej Spółce Myśliwskiej 4

Skład Główny

WYRÓB KRAJOWY KARMU
DLA BAŻANTÓW DROBIU I PSÓW
PRZESYŁA CENNIKI
„DYANA"
SKIERNIEWICE. GUB WARSZAWSKA

Królewska 17.

Szczenięta

pointry angielskie czystej krwi

są do sprzedania po psie medalowanym w Warszawie i suce po psach importowanych z Anglii.

Juliusz Waliszewski

Lubień, p. Ostrowy, stacya kol. Kaliska, gub. warszawska. 12

W Y Ż Ł Y:

Suka pointerka, z aportem, w 3-m polu, **cena 75 rb.** Suka rasy lekkiej niemieckiej, z aportem, w 2-m polu, z wrodzonemi przymiotami do roboty wodnej, **cena 40 rb.** Pies Gordon, bez aportu, w 2-m polu, **cena 40 rb.**

Wiadomość:

Stacya Kunów drogi żelaznej Iwangrodko-Dąbrowskiej,

Jan Molga.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Ś-to Krzyska 36).

Nad Nilem Niebieskim

przez

Jana Sztolcmana,

z ilustracyami

Józefa Rapackiego.

Jest to niezmiernie interesujące sprawozdanie z łowieckiej wyprawy do Sudanu Józefa hr. Potockiego, któremu towarzyszył autor niniejszego dzieła. Żywo kreślone notatki myśliwskie i opisy przygód łowieckich zdobią liczne fotografie, zdejmowane przez uczestników wyprawy, która była pierwszą myśliwską wyprawą w tej, mało jeszcze znanej sportsmenom, krainie.

Wydanie ozdobne, z kolorowaną okładką.

Cena rb. 5.

„Prenumeratorowie Łowca Polskiego" mogą otrzymać to dzieło w Redakcyi (Ś-to Krzyska 36) po **4** rub.

POSZUKUJE SIĘ 17

wyżła rasowego

w II polu z doskonałym wiatrem i doskonale wytresowanego. Oferty składać: do Zarządu dóbr Mokwin, poczta Berezno, gub. wołyńska.

Poszukuje się **pary gończych**, psa i suki nie starych, dobrze ułożonych. Poręczenie piśmienne. Cena z dostawą 100 rb.

St. Małkiń, obóz Gąsiorowo, pułk. Białozierski, w domu Samajłowa. 19

Biuro melioracyi rolnych

i inżynieryi rolniczej

Warszawa, Foksal Nr. 14. Kraków, Grabowskiego Nr. 10.

Biuro uprawnione przez Dyrekcyę Główną Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego do wykonywania wszelkich robót melioracyjnych, prowadzonych przy pomocy pożyczek Towarzystwa.

Osuszanie. Drenowanie. Nawadnianie. Melioracye torfowisk. Poprawa łąk przesuszonych. Gospodarstwa rybne. Regulacya rzek i potoków. Wyzyskanie siły wodnej do celów przemysłowo-rolniczych. Wodociągi gospodarcze i domowe. Budowa dróg i kolejek. Budowa jazów, szluz i mostów. Budowa dworów i zabudowań folwarcznych. Osuszanie zawilgoconych domów i wilgotnych terenów budowlanych. Analiza gleby.

Inżynier Stanisław Turczynowicz
wykładający melioracye rolne w Uniwersytecie Krakowskim

Inżynier Antoni Ponikowski
b. inżynier przy biurze melioracyjnym Wydziału Krajowego w Galicyi. 26

Krajowa Fabryka instrumentów muzycznych



Aleksander Glier



egzystuje od roku 1835

w Warszawie, Nowy-Swiat Nr. 5

poleca w wielkim wyborze instrumenty muzyczne wszelkiego rodzaju oraz trąby myśliwskie i alarmowe.



Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 204.

Nr. 18. | Warszawa, d. 16 września 1907 r. | Rok IX.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



POLOWANIE NA KURY.

Konkurs wyżłów.

Wydział hodowli psów rasowych przy Warszawskiem Towarzystwie prawidłowego myślistwa, urządzając doroczny konkurs wyżłów, zaprowadził w nim bardzo poważne zmiany. Przedewszystkiem zniósł zupełnie nagrody pieniężne, a natomiast jako odnaczenia dla właścicieli psów ustanowił żetony: złote emaliowane (wysokiej wartości), złote, srebrne emaliowane i srebrne. Zmiana ta nastąpiła na wniosek Członka Wydziału, p. Hermana Knothego, który przedstawił następujące motywy: próby polowe wyżłów *(field trial'e)* są uzupełnieniem wystaw psów: gdy wystawy mają na celu odznaczenie osobników, wyróżniających się doskonałością budowy i kształtów, próby polowe powinny uwydatnić wrodzone zalety polowe tychże psów, a tym sposobem hodowcy mają wskazówkę, które osobniki wyróżniać jako reproduktory lub matki. Tymczasem zawodowi treserzy, którzy zajmują się zwykle handlem psów, nabywają zbyt często psy bardzo wątpliwych ras, układają je i następnie zbywają po cenach, dostosowanych do ich zalet polowych. Z tej więc strony hodowla psów rasowych w naszym kraju nic prawie, albo przynajmniej bardzo niewiele na tem zyskuje. Dla podniesienia więc jej można tylko liczyć na hodowców, zwykle ludzi zamożnych, dla których odznaczenia w formie pamiątkowego żetonu ma stokroć ważniejsze znaczenie, aniżeli nagroda pieniężna, choćby nawet paręset-rublowa. Trzeba też nadmienić, że treserzy zawodowi, mimo zniesienia nagród pieniężnych, zyskują zawsze na konkursach, gdyż pies, wyróżniony na próbach polowych, znajdzie zawsze łatwo nabywcę za cenę znacznie wyższą, aniżeli można osiągnąć za psy niepremiowane. Wydział przychylił się do tych wniosków i ustanowił nagrody w żetonach.

Drugą inowacyą było ustanowienie trzech klas, na jakie psy, przedstawione do konkursu, podzielone być powinny, a mianowicie: I-sza klasa — psy angielskie (pointery i settery); II-ga klasa — psy niemieckie (gładko, ostro i długowłose); wreszcie III-cia klasa — psy półkrwi, do których zalicza się wszystkie psy ras mniej więcej mieszanych. Kwalifikacja psów odbywa się przez sędziów konkursu, oraz osoby, przez nich zaproszone, w sam dzień konkursu przed jego rozpoczęciem. W dwóch pierwszych klasach t. j. psów rasowych, wyznaczono po trzy nagrody równoległe (żeton złoty emaliowany, wartości 50 rb., żeton złoty wartości 25 rb. i żeton srebrny wartości 10 rb.), a w klasie III-ciej (psów półkrwi) — dwie nagrody (żeton srebrny emaliowany wartości 15 rb., i żeton srebrny wartości 10 rb.).

Sędziowie oprócz wspomnianych nagród w żetonach mają prawo wydawać listy pochwalne w ilości nieograniczonej, które wydawane będą psom, nieodpowiadającym wprawdzie warunkom konkursu, ale rokującym nadzieję, że przy odpowiedniej pracy i doświadczeniu z czasem warunki te wypełnić będą w stanie.

Co do nagród pieniężnych dla strzelców, układających psy, to te znacznie pomnożone zostały, a mianowicie: ustanowiono w każdej z trzech klas po jednej nagrodzie 20-rublowej, po jednej nagrodzie 15-rublowej i w klasie I-ej i II-ej po jednej nagrodzie 10-rublowej. Tak więc ogółem nagród pieniężnych dla treserów-zawodowców jest ośm na ogólną sumę 125 rb.

Na tych nowych warunkach odbył się konkurs tegoroczny w sobotę, dnia 7 września na polach folwarku Służewiec, użyczonych chętnie, jak i lat poprzednich, przez Ksawerego hr. Branickiego. Komitet sędziów składali pp. Jan Sztolcman (przewodniczący), Herman Knothe, Stanisław Lilpop, Władysław January Starzyński i Bronisław Wysocki. Pogoda była nader sprzyjająca: dzień słoneczny, ale jak na początek września — dość chłodny, wiatr lekki, powietrze po długotrwałych deszczach dostatecznie nasycone wilgocią. Próby odbywały się na łanach buraków niezbyt wybujałych i zachwaszczonych, oraz na kartofliskach z nacią przeważnie dość rzadką.

Do konkursu stanęło 8 wyżłów, a mianowicie: w klasie I-ej (psy angielskie) „Lady" — laverack-setterka p. Pawła Lazara. „Bela" — laverack-setterka p. Szostaka, „Paddy" — setter irlandzki pułk. Hermana i „Tuan" p. Tajzlera. W klasie II-ej (psy niemieckie): „Peter" — gryfon niemiecki p. Wiktora

TRZY NOCE.

Gdy sięgnę pamięcią w te odległe czasy, kiedym stawiał pierwsze kroki na polu myślistwa, najżywiej rysują się w mojej wyobraźni chwile, które spędzałem nocną porą, czatując, czy to sam, czy też w towarzystwie leśnika-myśliwego, na grubego zwierza, w którego wówczas obfitowały nasze białoruskie lasy. Noc miała dla mnie zawsze urok ogromny, zarówno parna, lipcowa, przesiąknięta aromatem ziół przeróżnych, kiedy wszystko, co żyje, prócz śpiocha-człowieka, śpieszy nasycić się wdziękiem odpoczywającej po letnim znoju, natury, jak i długie, zdające się nie mieć końca, zimowe noce, wysrebrzone światłem księżyca, lub mętne i blade, rozbrzmiewające szlochaniem szalejącej zadymki. A owe ciemne i mgliste, wio enne noce, podczas których dziwny jakiś i niewytłómaczony niepokój zakrada się w głąb serca? Komu nie są one znane? Radosne kwakanie, piski i świsty powracającej z dalekiego południa, skrzydlatej rzeszy nie dają wówczas spać prawdziwemu myśliwemu; wychodzi on z dusznego pokoju na ganek, lub noc całą spędza w otwartem oknie, napawając się przesiąkniętem wilgocią, wiosennem powietrzem, i chciwie łowiąc uchem miłe, a tak dobrze mu znane dźwięki, płynące z mrocznych przestworzy. Jakże marnemi i śmiesznemi wydają mu się uciechy mieszczucha, który o tej właśnie porze szuka rozrywki wśród rozbawionych, tańczących par, lub w zadymionym gabinecie restauracyjnym!

Ot i teraz noc rozpostarła nad ziemią czarne swe skrzydła, domownicy ułożyli się do snu, lecz mnie jakoś spać się nie chce, biorę przeto pióro, aby skreślić wrażenia kilku pamiętnych nocy, które dawno już, bardzo dawno zapadły się w wieczność.

I.

Pierwsza gwiazda, nieśmiało wyglądając z niebieskich otchłani, zastała mnie i leśnika Falkowskiego, zwykłego mego towarzysza w wyprawach myśliwskich, — leżących na rozesłanej burce wpośród łanu dojrzałego owsa. Obszerne place, wydeptane tu i owdzie, i sterczące obok nich nagie, pozbawione ziarna, źdźbła owsa świadczyły, że dzik oddawna nawiedzał to pole, a ślady, które Falkowski odnalazł na kretowiskach, kazały się domyślać, że będziemy mieli do czynienia tej nocy z ogromnym odyńcem. Nie znałem jeszcze tej zwierzyny, a nasłuchawszy się od dzieciństwa opowiadań o srogości i odwadze starych odyńców, żywiłem ku nim jeżeli nie obawę, to pewien rodzaj poszanowania; to też nadzwyczaj starannie opatrzyłem tego wieczora zamki swego nowiutkiego sztucera, a z setki błyszczących, butelko-

Szostaka, i „Moro“ — gryfon niemiecki tegoż. Wreszcie w klasie III-cie (psy półkrwi): „Gejsza“ p. Szostaka, podana za niemiecką długowłosą, ale zdradzająca domieszkę innej rasy, oraz „Rekord“ p. Rylki, podany za psa rasy polskiej, ale również zdradzający mieszaninę.

Z pomiędzy tych psów najwięcej wrodzonych zalet wykazała laverack-setterka w 3 polu „Bela“ p. Szostaka. Jest to suka z ogromnym temperamentem, bardzo pięknymi chodami, wiatr ma średni. Sposób prowadzenia za cieknącemi kurami pozostawia wiele do życzenia, gdyż suka ta zamiast trzymać się tropu, rzuca go często i wraca, na czem się traci wiele czasu. Trudno jest orzec, czy wada ta powstała skutkiem zbytniego temperamentu, czy też pod wpływem niewłaściwego prowadzenia (tresury), nam się jednak zdaje, że obie te przyczyny wpłynęły na rozwinięcie się tego defektu. „Bela“ aportuje znakomicie: na rozkaz rzuca się galopem w stronę zabitego ptaka, odnajduje go bardzo szybko; nie namyślając się, chwyta, przynosi swemu panu i momentalnie oddaje. Natomiast próbowana z drugim psem, rzuciła się zdaleka do aportowania kury, zabitej nie przez jej pana, co dowodzi, że jej wrodzony temperament i zazdrość nie zostały jeszcze dostatecznie okiełznane. Biorąc na uwagę niektóre znakomite zalety wrodzone tej suki, ale zarazem pewne braki w tresurze, a szczególnie częste rzucania tropu kur cieknących, komitet sędziów przyznał większością głosów „Beli“ *III-cią nagrodę (żeton srebrny)* w klasie I-ej, a także *III-cią nagrodę (medal srebrny mały)*, nadesłany przez Petersburskie Towarzystwo Miłośników psów rasowych.

Drugą odznaczoną suką w klasie I-ej była laverack-setterka w 2-m polu „Lady“ p. Pawła Lazara. Zaznaczyć należy, że suka ta znajdowała się w chwili próby w piątym tygodniu ciąży i szkoda wielka, że właściciel jej zaryzykował puścić ją na konkurs w takich warunkach, gdyż niewątpliwie „Lady“ w zwykłej formie wykazałaby znacznie wyższą klasę. Tymczasem wskutek, jak przypuszczać można, stanu brzemiennego, suka ta wykazała chody naogół słabe i wiatr mierny, który się zdradził parokrotnem wpadnięciem na kury z bocznym wiatrem, oraz niepewnem, zygzakowatem prowadzeniem za cieknącymi ptakami. Natomiast śmiało powiedzieć możemy, że żaden z zaprodukowanych psów nie wykazał tak doskonałej tresury, jak ta właśnie suka. „Lady“ po strzale nie drgnęła nawet ni razu, a obce strzały nie mogły jej również poruszyć z jej doskonałej stójki; aportowała też bez zarzutu. Sędziowie odznaczyli „Lady“ *III-cią nagrodą w klasie I-ej żeton srebrny)*, wyrażając przekonanie, że suka ta w normalnym stanie zdobyłaby prawdopodobnie jaką wyższą nagrodę.

Wielką niespodziankę zrobiła suka „Gejsza“ p. Szostaka, zakwalifikowana do klasy III-ej (psy półkrwi). Puszczona w początkach konkursu — około godziny 9-ej rano — w burakach, zachwyciła wszystkich obecnych, jeżeli nie chodami, które miała dość powolne, to górnym swym wiatrem, doskonałą stójką, prowadzeniem, aportowaniem i karnością. Chodziła wcale niezłym, jak na psa niemieckiego, „cantrem,“ stawała z nosem do góry podniesionym, i tak samo prowadziła do kur, czy za kurami cieknącemi. Wszyscy byli przekonani, że jest ona kandydatką do I-ej nagrody i żałowali, że jej wygląd niezupełnie klasyczny, wstrzymał sędziów od zakwalifikowania jej do klasy II (psów niemieckich), coby jej dało możność zdobycia złotego, wartościowego żetonu. Ta sama „Gejsza,“ puszczona pod koniec konkursu, znaczy się nieco przed 1-ą po południu, chodziła już tylko wolnym kłusikiem, nie oddalając się prawie od swego pana, za kurami cieknacemi prowadziła, wodząc nosem po ziemi, a co najgorsze, że parę razy tak prowadząc, wlazła na nie i spłoszyła. Sędziowie jednak mimo to, przyznając jej niepoślednie zalety wrodzone i dobrą tresurę, odznaczyli ją *II-gą nagrodą (żeton srebrny)*. W każdym razie wypadek z „Gejszą“ dowodzi, jak oględnym należy być w sądzeniu psów pobieżnie. Zawsze też na konkursach warszawskich trzymano się tej zasady, że psy zakwalifikowane do nagród w początku konkursu, próbowano powtórnie w środku lub pod koniec próby, gdy słońce wrześniowe wyparowało już z roślinności wilgoć i teren stał się suchym.

Oprócz powyżej wymienionych trzech psów, nagrodzonych medalami srebrnymi, komitet sędziów odznaczył jeszcze *listem pochwalnym* settera irlandzkiego „Tuana“, własność p. Tajzlera. „Tuan“ wykazał piękne chody i dobrą tresurę, lecz jednocześnie brak dobrego wiatru, co wyjątkowo przypisać może

---

wych naboi wybrałem dwa, których łagodnie zaokrąglone, stożkowate kule wydały mi się najdoskonalszego kształtu.

Leżałem, twarzą zwrócony ku niebu, rozpoznając coraz to nowe, zjawiające się tam konstelacye, a ciężkie, obfite w ziarno wiechy owsa, żółtą koronką rysując się na ciemnym błękicie nieba, zasłaniały mi widnokrąg. Zdala dolatywało skrzypienie studziennych żórawi, przepiórki biły zawzięcie w kilku miejscach pola i, jak najęte, trzeszczały koniki polne, przeszkadzając wsłuchywać się w nocne szelesty, z których każdy zdawał się zapowiadać nadejście dzika.

Tymczasem zorza zgasła na zachodzie, a nikły jeszcze księżyc, w kilka dni po nowiu, niewiele rozpraszał ciemności. Komary, których rój brzęczał dotąd nad nami, tańcząc w powietrzu, odleciały gdzieś dalej, przepiórki milkły jedna po drugiej i tylko z pobliskiego lasu słychać było monotonne, podobne do rechotania żab, skrzeczenie lelka.

Jakaś senność wisiała w nieruchomem powietrzu lipcowej nocy, oplątując niewidzialnemi swemi mackami ociężałe powieki. Falkowski pochrapywał już z cicha, ukrywszy twarz w czapce, a ja dobywałem ostatnich sił w walce ze snem...

Nie wiem, jak długo spałem, lecz musiało być blisko północy, gdy obudzony dźwięcznym głosem przepiórki, która biła o kilka krokow od naszej kryjówki, podniosłem się na łokciu i rozejrzałem dookoła: sierp księżyca, przepasany wązką, granatową chmurką i otoczony czerwonawą łuną, stał już bardzo nizko na niebie i lada chwila należało się spodziewać, że wbije jeden ze swoich rogów w czarną, poszarpaną krawędź lasu. Dreszcz mną wstrząsnął, jak to zwykle bywa, kiedy się śpi przez jakiś czas w ubraniu na otwartem powietrzu, choćby w ciepłą, lipcową noc. Chciałem wstać, aby rozprostować zdrętwiałe członki, gdy słuch mój uderzyło równomierne, a powolne mlaskanie z przerwami, podczas których wyraźnie słychać było obrywanie ziarna; po chwili dojrzałem na żółtem tle owsa ciemną plamę, która co pewien czas poruszała się, zmieniając kontury: nie było wątpliwości, że to dzik ucztował w najlepsze, podszedłszy do nas na kilkadziesiąt kroków podczas naszego snu.

Zlekka szturchnąłem w bok Falkowskiego, przerywając mu słodką drzemkę i, wtłoczywszy mu w usta własną jego czapkę, z wściekłością nieomal stłumiłem głośne ziewnięcie, którem miał zwyczaj oznajmiać swe przebudzenie, a które niechybnie spłoszyłoby czujnego zwierza. Obudzony w tak niedelikatny sposób, Falkowski wpatrywał się we mnie szeroko rozwartemi, osłupiałemi źrenicami, dopóki przyciszonym szeptem nie wytłómaczyłem mu, o co chodzi.

Zwlekać nie można było, bo dzik był blisko i lada chwila mógł nas zwietrzyć, podniosłem się więc na jedno kolano, wycelowałem sztucer w to

należało gorączkowemu stanowi, w jakim się pies ten znajdował.

Próba pozostałych czterech psów, biorących udział w tegorocznym konkursie, wykazała w nich albo brak tresury, albo brak wrodzonych zalet polowych, a nadewszystko wiatru lub chodów i dlatego komitet sędziów czuł się zmuszonym do pominięcia ich przy rozdzielaniu nagród. Tym sposobem pozostało wakujących pięć najważniejszych nagród Warszawskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa, a nadto dwa medale (złoty i srebrny wielki) nadesłane przez Petersburskie Towarzystwo Miłośników psów rasowych, oraz bardzo piękny żeton złoty, wydany do dyspozycyi sędziów warszawskiego konkursu przez Petersburskie Towarzystwo zachęty polowych zalet psów myśliwskich.

Z powyższego sprawozdania okazuje się, że u nas obecnie, jak i lat poprzednich, brak jest nietylko dobrych użytkowych psów rasowych, ale nawet psów półkrwi, Konkursy Warszawskiego Towarzystwa trwają już od lat dziesiątka, a mimo to poziom hodowli prawie że się nie podniósł. Widzieliśmy to ze smutkiem lat poprzednich, a i próby obecne jeszcze raz przekonały nas o tem. Tem to przykrzejsze, że świadkiem tegorocznego konkursu był delegat i członek Zarządu Moskiewskiego myśliwskiego Towarzystwa imienia Cesarza Aleksandra II, p. Penkala. Gdy w Moskwie lub Petersburgu odbywają się próby polowe, staje do nich 30 lub 40 psów i próby trwają 2, a nawet trzy pełne dni. U nas stanęło ledwie psów 8 i konkurs skończył się w 5 godzin, bo faktycznie dłużej nie było co robić. Trzy psy dostają najniższe nagrody w każdej klasie, a jeden list pochwalny. To śmiechu warte dla takiego *par excelence* myśliwskiego kraju, jak nasz, gdzie myśliwych z psem legawym na tysiące liczyć można.

f. S.

Olbrzymia hodowla zwierzyny.

Handel dzikiemi zwierzętami, sprowadzonemi z lądów i wysp dalekich, dla licznych menażeryj i ogrodów zoologicznych Europy, koncentruje się, jak wiadomo, w Hamburgu. W tem to mieście istnieją słynne zakłady Hagenbecka, głównego dostawcy wszystkich istniejących zwierzyńców; zakłady owe, to niby skład olbrzymi tego żywego towaru, z niemałym trudem zdobytego w Azyi, Afryce, Australii, pod zwrotnikami, lub w krajach polarnych.

Obroty handlowe przedsiębiorczego pana Hagenbecka są znaczne; w ciągu ostatniego roku otrzymał on 76 lwów, tygrysów i panter, 42 niedźwiedzie, 52 słonie, 64 wielbłądy i dromadery, 750 małp, ponadto mnóstwo innych zwierząt ssących, oraz najróżnorodniejszych ptaków. Główną część tej kolekcyi sprzedano w Ameryce dla uzupełnienia ogrodów zoologicznych, istniejących we wszystkich prawie większych miastach Stanów Zjednoczonych; resztę rozchwytali natychmiast dyrektorzy wędrownych cyrków. W ciągu jednego miesiąca wysłano z Hamburga do Cincinati transport zwierząt, wartości 12,500 franków, do Filadelfii zaś—wartości 17,500 franków. W tym samym czasie ogromny zakup zrobiło też towarzystwo Zoologiczne w New-Yorku. Hagenbeck towar swój sprowadza przeważnie z kolonij francuskich, obejmujących olbrzymie przestrzenie w Azyi i Afryce, nie wystarcza to jednak dyrektorowi menażeryi hamburskiej, który utrzymuje licznych agentów i wojażerów, obowiązanych do wyszukiwania zwierząt wszelkiego rodzaju we wszystkich częściach świata.

W miesiącu lutym roku zeszłego przysłano mu z Syberyi stado łań, składające się z 30 sztuk, 15 kozłów skalnych, 20 sztuk kułanów *), oraz mnóstwo ptaków; agent, wysłany do Sudanu, przywiózł 3 żyrafy i kilkanaście antylop.

Niedawno do głównego zarządu zakładów Hagenbecka nadeszła wiadomość, że na terytoryum niemieckiem we Wschodniej Afryce przygotowany jest transport, składający się z 20 zebr i 2 nosorożców; z Zachodniej Afryki zaś wysłano wielką ilość szympansów, oraz kilka młodych goryli. Jednocześnie statek, idący z Australii, miał przywieźć 60 kangurów i mnóstwo rzadkich okazów tropikalnych ptaków.

Oprócz agentów, pozostających na usługach zakładów, Hagenbeck ma 60 wytrawnych myśliwców i filie w każdej części świata, gdzie schwytane

*) Rodzaj dzikiego osła.

miejsce na niebie, gdzie po księżycu pozostała jeszcze różowa jasność i, gdy mi się zdało, że muszka znajduje się w należytem miejscu, zwolna opuszczać zacząłem lufy, dopóki nad górną krawędzią wizyeru nie zamajaczyła wązka, czarna smuga, czyli grzbiet żerującego odyńca: wtedy pociągnąłem za cyngiel...

Przebrzmiał strzał, przebrzmiało i echo, dwukrotnie powtórzone przez przeciwległe lasy, i nastała taka cisza, że słychać było przyśpieszone bicie serca, do którego zbiegła się krew z całego ciała. Straszna myśl przeszła mi przez mózg lotem błyskawicy: odyniec rozjuszony strzałem, który może chybił, a może lekko go tylko ranił, wypatruje wroga i lada chwila wpadnie na nas całym impetem swego masywnego cielska. Drugi strzał bezwarunkowo chybi, bo jakże tu trafić drżącemi rękami po ciemku w pędzącego dzika, do połowy skrytego w wysokim owsie? Oślepiony blaskiem strzału, wzrok nie mógł rozpoznać poprzez smugi dymu, czy ciemna plama znikła, czy też jest na dawnem miejscu. Spojrzałem na Falkowskiego. Stał tuż za mną, bez czapki, z rozczochraną czupryną i rozwianą brodą, a spojrzenia, które rzucał co chwila po za siebie ku widniejącej w oddali grupie brzózek, nie pozwalały mi zbytnio ufać w jego pomoc w krytycznej chwili.

Staliśmy już chwil kilka, jak przykuci do miejsca, gdy nagle do uszu naszych doleciało słabe rzężenie.

„Ehe!“ krzyknął Falkowski, któremu nagle powróciła fantazya: „już pisze testament; teraz możemy śmiało do niego podejść“. Pobiegliśmy do dzika, lecz wściekłe szamotanie się rannego zwierza zmusiło nas do odwrotu. Żaden z nas nie miał zapałek, poszliśmy więc po nie do chaty leśnika mieszkającego w pobliżu, na skraju lasu. Gdyśmy wrócili z zapalonem łuczywem, dzika już nie było na poprzedniem miejscu; pozostał po nim obszerny plac, cały zlany farbą, od którego prowadziła wązka, wytłoczona w owsie ścieżka; doszliśmy po niej do lasu i wróciliśmy do domu, bo tropienie po nocy ranionego odyńca w gęstym lesie byłoby szaleństwem.

Nazajutrz, przy pomocy psów, znalazłem tego dzika, dogorywającego w strasznej gęstwinie, dokąd się zaszył, czując nadchodzącą śmierć; miał jednak tyle jeszcze siły, że przed śmiercią rozpłatał brzuch jednemu z psów.

Józef Woyniłowicz.

(C. d. n.).

zwierzęta znajdują chwilowe schronienie przed wysłaniem w dalszą drogę, stosownie do zapotrzebowań rozgałęzionej klienteli.

Filij takich jest 5 w Azyi i 3 w Afryce. Najgłówniejsza znajduje się w Hassala w Afryce środkowej i jest zawsze dobrze zaopatrzona. Liczne factorye w koloniach niemieckich w zachodniej Afryke trzymają zazwyczaj na swoich składach po kilkanaście par zebr i strusi.

Myśliwi, wysyłani przez menażeryę, wszędzie, gdzie rozpoczynają swe łowy, są wspomagani przez krajowców. W Nubii np., skąd pochodzą prawie wszystkie lwy, tubylcy badają ich zwyczaje, wyszukują jaskinie, będące ich schronieniem; każda lwica, mająca mieć małe, jest pilnie strzeżona; jak tylko urodzą się lwiątka, przychodzą strzelcy, uprzedzeni przez krajowców; zabijają matkę, małe zaś natychmiast zabierają i odkarmiają je koziem mlekiem. Lwy do menażeryi Hagenbecka sprowadzają również z Abisynii i z Senagalu, lecz najpiękniejsze pochodzą z gór Atlasu (Afryka północna).

Trudności przy zaopatrywaniu się w rzadsze zwierzęta, jak hipopotamy, nosorożce lub żyrafy, są niesłychane. Już sprowadzenie do Europy dorosłych okazów tych zwierząt jest rzeczą prawie niemożebną, wychowanie zaś małych, przetransportowanie ich przez pustynie, niezmierne obszary lądów i mórz, doprowadzenie w dobrym stanie do Hamburga, przedstawia zadanie, połączone z trudnościami nie do wiary.

Agenci Hagenbecka jednak dają sobie radę, utrzymując w swych karawanach całe stada kóz, oddających im niezmiernie ważne usługi, dostarczają bowiem mleka dla wyżywienia małych hipopotamów, lwów, nosorożców i t. d.

Łowienie dzikich zwierząt nie jest łatwą rzeczą; od roku 1880 np. zaledwie 5 sztuk sloni przywieziono do menażeryi hamburskiej; rzadkość tych zwierząt należy przypisać nieustannemu tępieniu ich p zez krajowców.

Wobec niesłychanych trudności i kosztów przy sprowadzaniu zwierząt do E ropy i zważywszy na ogromną śmiertelność, jaka panuje pomiędzy niemi podczas podróży, nie mogą dziwić ceny, żądane przez Hagenbecka; ceny to w istocie olbrzymie. I tak np. nosorożec indyjski kosztuje 12,000 franków; hipopotam 20,000 fr. para tapirów indyjskich 120,000 fr.; słoń indyjski 12,000 fr. para lwów berberyjskich 12,000 fr.; tygrys bengalski 4 do 5.000 fr.; jaguar 12,000 fr.; wielbłąd 800 fr; para lam 15,000, zebra 3,000 fr. i t. d. i t. d. Ceny te zresztą nie są stałe; zmieniają się one, stosownie do piękności okazów, większego lub mniejszego zapotrzebowania, albo obfitości dowozu.

Właściciel menażeryi hamburskiej nie ogranicza się jedynie do handlu zwierzętami; sfera jego działania sięga dalej; krzyżuje on rasy, robi próby aklimatyzowania ich, a rezultaty jego usiłowań w rozmaitych kierunkach stanowią istotne zdobycze, nietylko dla zoologii, lecz również dla sztuki wojennej i dla kolonizacyi.

Hagenbeck skrzyżował naprzykład lwa z tygrysem; okazy tych ciekawych mieszańców znaidu ją się w Hamburgu i w niektórych ogrodach zoologicznych Stanów Zjednoczonych. Ze skrzyżowania zebry z koniem powstały te piękne i wytrzymałe mieszańce, lepsze podobno od mułów. Zebra często jest używana w zakładach Hagenbecka do zaprzęgu, i twierdzą, że z łatwością daje się przyswajać i układać, oraz znosi ostry klimat nawet północnej Europy.

W celu aklimatyzowania dzikich zwierząt Hagenbeck założył w Stellingen, pod Hamburgiem, obszerny park, gdzie prawie na swobodzie utrzymują wielką liczbę zwierząt egzotycznych, które podobno mogą żyć i rozmnażać się w naszym klimacie. Są to mianowicie rozmaite odmiany jeleni, pochodzących z Azyi środkowej, południowej Syberyi, oraz antylopy z Afryki środkowej.

Wielbłąd baktryjski (dwugarbowy) z największem powodzeniem mógłby być używany w Europie w zaprzęgu i oddałby niezawodnie wielkie usługi rolnictwu. Jest on znacznie silniejszy od wołu, wytrzymały, nieczuły na największe mrozy, zdolny do noszenia i ciągnienia ogromnych ciężarów. Próby, robione w tym względzie z wielbłądami w Stellingen, dały najlepsze rezultaty.

Wiele innych gatunków dzikich zwierząt Ameryki i Azyi możnaby również przyswoić Europie, np. piżmowca, którego futro wielce cenione jest i poszukiwane w handlu, i szczura-bobra, tak zwanego z powodu wielkiego podobieństwa do bobra właściwego; ten gatunek szczura jest bardzo rozpowszechniony w północnej Ameryce, gdzie żyje w pobliżu mieszkań ludzkich, na brzegach rzek, lub nawet na wodach stojących. Próbowano hodować go w Niemczech i próby te zostały uwieńczone zupełnem powodzeniem.

Z ptaków możnaby aklimatyzować gatunek *„Colinus virginianus"*, rodzaj przepiórki, przywykłej do ostrzejszego klimatu i mogącej się stać poważnym konkurentem kuropatwy.

Szukając zysku, przedsiębiorca hamburski przysparza jednocześnie doświadczeń i spostrzeżeń nauce, dlatego też zakłady w Stellingen winny się stać przedmiotem badań i obserwacyi uczonych przyrodników.

Z życia wilków karpackich.

Skreślił

JAN MARCINKÓW

delegat pow. dolińskiego.

(Ciąg dalszy).

Podążyliśmy tedy za tymi tropami w nadziei, że wnet je odszukamy. Tymczasem nadeszła nadzwyczaj silna fala śnieżna, tak, że nam w oczach tropy z farbą prawie zupełnie zasypywała.

Po godzinnym marszu, widząc, że nie możemy ich dojść, zresztą zaczął się już i wieczór robić, postanowiliśmy zawrócić z drogi na miejsce, gdzie wilk zabity leżał, zabrać go ze sobą i zmykać czemprędzej do domu, by za dnia dowlec się do drogi komunikacyjnej, gdyż, w przeciwnym razie, niepodobnemby było dostać się do domu.

Ale jakież było nasze zdziwienie, gdy wilka nie zastaliśmy! Przyszedł on pomału do siebie i potoczył się po stronie uboczy w głęboki jar, gdzie z powodu spóźnionej pory i zasypanych tropów zadymką śnieżną, o poszukiwaniu już i mowy nie było.

Musieliśmy tedy czemprędzej umykać z lasu, aby przynajmniej na 9-tą wieczór być w domu.

Następnego dnia rano, uzbrojeni już w lepszą amunicyę, tak dla strzelby, jak i dla żołądka, poszliśmy na poszukiwania, które trwały znowu do późnej nocy, a które spełzły na niczem, gdyż w nocy spadł nowy śnieg i zasypał wszystkie tropy.

Nie pozostało nic więcej, jak tylko pozostawić „status quo" — i czekać aż pod wiosnę, jak śniegi stają.

Przy mniejszych śniegach również nie udało mi się wilków odszukać, dopiero aż letnią porą znaleźli owczarze resztki wszystkich 3-ch. Tak więc zredukowałem w tym roku całą bandę 10 wilków do cyfry 3 sztuk. Z tych były dwie suki, a jeden pies.

Pierwszego roku pozostała ta „szlachetna" familijka bez potomstwa i nie wyrządzała już tylu szkód, co naturalnie, może wyrządzić dziesięć wilczych łotrów.

W następnym roku suczki powetowały sobie przeszłoroczny zastój w przyroście w dość należyty sposób, tak, że z tej trójeczki zrobiło się następnego roku w zimie potężnych czternaście przedstawicieli tego bestyalskiego rodu, licząc już w tem ojca i dwie matki.

Gdzie się wychowały i gdzie przebywały, niepodobna było dociec, bo prócz wycia pojedyńczych sztuk w nader rozmaitych punktach, nie można było nic tak dalece podejrzanego zauważyć. Co za spustoszenia taka czternastka potrafi zrobić w rewirze, przechodzi pojęcia ludzkie, i powiedziałbym, że wilk, dla zaspokojenia głodu, mniej robi szkody, niż dla zaspokojenia swych krwiożerczych instynktów, aby wszystko, co żyje, mordować, z wyjątkiem człowieka, którego w okropny sposób boi się i respektuje.

Gdy raz rozdarły wilki kilka sztuk łań i należycie ponajadały się, podążyłem za ich tropami i po ośmiogodzinnym marszu doszedłem do ich, nie tak legowisk, jak miejsca igrzysk, gdzie może ze dwumorgowy plac wyglądał formalnie, jakby przez stado owiec stłumiony. A że ich zabawy odbywały się w dość młodnikami zasłoniętem miejscu, więc gdy zoczyły mnie na odległość około 200 kroków, to już nie było po co zrywać strzelby, gdyż rozpierzchły się formalnie, jak błyskawica, a później już mi się nigdy nie udało z wilkami spotkać. Nielada też zadanie było, taką znaczną bandę zredukować, trwało to wprawdzie dwa lata, przecież zredukowało się ją do tego stopnia, że pozostały dwa samce, które do dziś dnia wałęsają się, bądź po tutejszym rewirze, bądź po Weldzirzskim lub Skolskim i są tak wyrafinowane, że niepodobna z nimi ani zdybać się, ani ich na smakołyk, lub żelaza złapać.

Przed czterema laty, kiedy ta banda 14 wilków po raz pierwszy zimową porą mogła być dokładnie obliczoną i obserwowaną, podziwiałem nieraz spryt i wyrafinowany zmysł myśliwski tych zwierząt. Zwykle, jeśli maszerują, idą gęsiora tak misternie, że w zakład możnaby iść, że tylko jeden wilk przeszedł. Dopiero, gdy w pobliżu swego otoczenia zwietrzą coś podejrzanego, rozskakują się na wszystkie strony.

Po forsownych marszach i dłuższej, bezowocnej pogoni za zwierzyną, lubią bardzo używać utartych gościńców, lub dróg leśnych. Gościniec leśny, który przecina w poprzek rewir Mizuński, ma około 35 kilometrów długości.

Obserwowałem dość często, że wilki, idąc nocą gościńcem, a upatrzywszy sobie pewien teren rewiru, gdzie prawdopodobna jest możliwość upolowania świeżej pieczeni, rozstawiają się formalnie, jak naganka, w pojedynki, na długości nawet i kilku kilometrów, postępują następnie, jakby w linii tyralierów ku upatrzonemu miejscu, przebuszowując tym sposobem kolosalny teren.

Jeśli tedy jeden z wilków co upoluje, sygnalizuje to wnet, jak na trąbie myśliwskiej, wyciem swym towarzyszom, no, i biesiada i wspólny poczęstunek jest gotów. Jeśli jednak sztuka im się nie uda, ściągają się, jak na komendę i jakby już w uplanowanem z góry miejscu, ażeby następnie znowu wspólnie gęsim sznurkiem wędrować w dalsze rewiry, celem uskuteczniania swego krwiożerczego sportu.

Mając w tym czasie do dyspozycyi konia zabitego w zrębie, spróbowałem był zatruć go strychniną w ten sposób, iż kazałem go bokiem na jednej stronie rozpruć, skórę odwinąć należycie, strychniną naszpikować, napowrót ją złożyć, zeszyć, a następnie przewrócić zatrutą stroną do ziemi, tak, ażeby się zdawało, że koń jest nietknięty.

Po pewnym czasie przyszły wilki i wierzchnią część niezatrutego ścierwa zżarły, gdy zaś zakosztowały goryczkę strychniny, pozostawiły zatrutą część całkiem nietkniętą. Koń ów leżał kilka miesięcy nieruszany, pomimo, że wilki dość często go odwiedzały. Gdy mi już tych bezowocnych wizytacyj wilczych do konia było zadużo, postanowiłem obstawić konia żelazami, a nie miałem innych żelaz, tylko 4 sztuki silnych żelaz kabłąkowych, w których sprężyny są tak silne, że za lekkiem pociągnięciem za ponętę, walą wilka w kark z taką gwałtownością, że na miejscu zabijają.

Wilki przychodziły i po rozstawieniu żelaz, ale o tknięciu ponęty, lub naruszeniu konia i mowy nie było.

(C. d. n.).

(„Łowiec").

Hodowla strusi amerykańskich we Francyi.

Nandu, czyli struś amerykański *(Rhea)*, zamieszkuje wyłącznie Amerykę południową, a mianowicie Patagonię, Argentynę, oraz wyżyny Chili, Boliwii i Peru. Jest to ptak znacznie od strusia mniejszy. Dorosły egzemplarz mierzy w pozie stojącej od ziemi do czubka głowy 1 m. 50. Ubarwienie jest szarobrunatne, każde jednak pióro jest zakończone dość szerokim, białym szlakiem. Trzy są znane gatunki nandu, a mianowicie nandu amerykański *(Rhea americana)*, nandu Darwina *(Rhea Darwini)* i nandu wielkodzioby *(Rhea macrorhyncha)*.

Jak dotychczas, tylko pierwszy z nich, a mianowicie nandu amerykański, był hodowany we Francyi. Początek prób w tym kierunku czynionych, sięga jeszcze 1855 roku, kiedy to paryskie Towarzystwo Aklimatyzacyi *(Société d' Acclimatation)* rozpoczęło hodowlę tych ptaków, a znany, francuski zoolog, Izydor Geoffroy Saint-Hilaire, zalecał jego chów, jako zwierzyny jatkowej. Pewna część członków Towarzystwa rozpoczęła próby i wszystkim, bez wyjątku, hodowla udała się doskonale, zarówno w departamencie Haute Garonne, jak i w wielu innych, a mianowicie w departamentach Indre-et-Loire, Maine-et-Loire, Vienne, Eure-et-Loir, Seine-et-Marne, Calvados, Orne i Pas-de-Calais. W każdym razie można stanowczo twierdzić, że nandu jest dziś we Francyi kompletnie zaaklimatyzowany i że rozmnaża się tam w sposób zupełnie prawidłowy. Znosi on z łatwością zimę tego kraju na otwartem powietrzu, a nawet zdaje się łatwiej wytrzymywać zimna, aniżeli silne gorąca.

Nandu dochodzi pełni rozwoju po trzech latach. Samiec jedynie wysiaduje jaja i on tylko prowadzi młode. Czas wysiadywania trwa 30 do 40 dni. Płeć jest trudno odróżnić, osobliwie w młodym wieku.

Pokarm strusia amerykańskiego składa się z kartofli, pokrajanych buraków, otrąb i zieleniny wszelkiego rodzaju.

Nandu może się chować w parkach względnie bardzo małych; wystarcza np. ogrodzenie z siatki drucianej wysokości 1 m. 20, mające 20 m. w kwadrat; lepiej jest wszelako mieścić je w bardziej przestronnych parkach. Jest to ptak bardzo ozdabiający daną miejscowość, gdy je np. puszczamy na trawniki wielkich parków.

Jeśli je trzymać na obszernych, zagrodzonych pastewnikach, w sąsiedztwie bydła rogatego, którego towarzystwo bardzo lubią, wówczas chów ich prawie nic nie kosztuje, a dochód z nich jest bardzo znaczny. W samej rzeczy mięso nandu rocznego, starannie karmionego, jest bardzo dobre, smakiem pośrednie między mięsem indyka a baraniną, i może zająć wybitne miejsce w kuchniach europejskich. Należałoby je puścić w handel i sprzedawać w detalu, jak baraninę.

Ptak ten jest użyteczny z innego jeszcze względu: nie wyrywa on trawy, jak np. gęś, lecz przeciwnie, poprawia łąki, zjadając mnóstwo zielska, pomijanego przez inne zwierzęta, a nadto niszczy masę owadów szkodliwych.

Jaja nandu, które, co do smaku, mogą być porównane z kurzemi, ważą od 700 do 900 gramów, to znaczy, że każde z nich, co do wagi, równa się 12 do 15 jajom kurzym.

Pióra mają obszerne zastosowanie w przemyśle i jako ozdoby kobiece. Cena ich zmienia się stosownie do kursu; przed paru laty wynosiła ona w ogólnej masie 15 do 22 franków za kilogram. Dzisiaj, dzięki kaprysom mody, cena ta wzrosła do 120 fr. Nie szkodząc ptakowi, można wyciągnąć z niego rocznie od 300 do 400 gramów.

Przy hodowli na małą skalę, gdzie ptaki są bardzo oswojone, można je chwytać z łatwością, i skubać pióra, które nam się podoba; w parkach jednak na wielką skalę niezbędnem jest uciekać się do innych środków pomocniczych, jak np. do kaptura, którego używa się zwykle na fermach strusich. Skubanie piór odbywa się w sierpniu.

Nandu nienawidzi samotności; jest to stworzenie bardzo towarzyskie, które szybko przyzwyczaja się do sąsiedztwa byle jakich zwierząt; łatwo się też oswaja z towarzystwem człowieka.

Jest to ptak nadzwyczaj żarłoczny, szczególnie jednak lubi owoce i jarzyny. Nie należy go też puszczać swobodnie do ogrodu warzywnego. Wody pije bardzo mało, nigdy zaś nie kąpie się. Uważać trzeba, aby nie miał dostępu do basenów lub stawów, które mają brzegi pionowe. Lubi paprać się w piasku drobnym lub w popiele.

Żyje on w doskonałej harmonii z kurami, gęśmi, kaczkami, oraz z wszelkim innym drobiem, ale niekiedy połyka młode pisklęta.

Charakteru jest wogóle bardzo łagodnego, tylko samiec niekiedy, a mianowicie w porze miłosnej, lub gdy chce bronić swe potomstwo, staje się złym, lecz nigdy nie jest prawdziwie niebezpiecznym.

Nandu jest ptakiem wielożeńczym i może jednocześnie zapładniać od trzech do siedmiu samic. Niesienie jaj rozpoczyna się we Francyi w miesiącu marcu. Samiec buduje gniazdo, wygrzebując w ziemi dołek, który wyściela zgruba suchemi gałązkami, trochą mchu, liśćmi i piórami. Samice niosą jaja w sąsiedztwie gniazda, a dopiero samiec przy pomocy dzioba i szyi podsuwa je pod siebie. Może on wysiadywać jednocześnie do dwudziestu jaj. Siada na jajach, gdy się już w gnieździe znajduje jakie trzy lub cztery, zwykle jednak wysiadywanie rozpoczyna się na dobro, gdy się znajduje większa ilość jaj.

Ażeby uniknąć wylęgania się w różnym czasie, najlepiej jest zamarkować dwa lub trzy jaja i następnie wyjmować inne, w miarę, jak je samice znoszą, a gdy się już ma rezerwę z jakich dwunastu sztuk, wówczas podkładamy je, zamarkowawszy uprzednio, na miejsce tych, które zostawiliśmy przedtem; wówczas co dwa lub trzy dni wyjmujemy z pod samca świeżo zniesione. Postępując w ten sposób, możemy być pewni, że wylęganie odbędzie się prawidłowo i w ogólności nie potrwa dłużej, jak trzydzieści cztery dni.

Młodym ptakom dajemy jaja na twardo, małe kawałeczki chleba, otręby i zieleninę siekaną.

Samiec dba nadzwyczajnie o swe potomstwo, zapędza je wcześnie do snu i późno budzi; młode są bardzo łakome na różnego rodzaju owady, które chwytają z wielką zręcznością. Dobrze jest odseparować samice od młodych, gdyż one odwracają uwagę samca, zjadają pokarm, przeznaczony dla młodych i nawet mogą czasami zabić te ostatnie.

Młode rosną szybko i wytrzymują doskonale wszelkie niepogody. Podobnie, jak i stare, nie chcą się chronić do szopy, lecz wolą pozostać pod ochroną jakiego drzewa, płotu lub muru. Dobrze jest przygotować im na zimę kupę suchych liści w miejscu zasłoniętem od wiatru i nieco pochyłem.

W braku samców, jaja mogą być podłożone do sztucznej wylęgarni, aby jednak tą drogą doprowadzić do wylężenia, niezbędną jest wielka staranność i doświadczenie; młode, sztucznie wylęgnięte, są znacznie trudniejsze do wychowania.

Próbowano też do tego celu indyczek. Mogą one wysiadywać na raz nie więcej jak trzy jaja. Chociaż zdarzało się nieraz, że indyki wysiedziały młode nandu, to jednak we wszystkich wypadkach zabijały one swe przybrane potomstwo.

Samica znosi od 25 do 50 jaj w dwóch seryach, a mianowicie w marcu-kwietniu i lipcu-sierpniu. Samiec może wysiadywać dwa razy do roku.

Stary ptak waży 30 do 35 kilogramów.

Istnieje odmiana nandu-albinosów; ptaki te białe, są zwykle mniej wytrzymałe, aniżeli forma typowa, lecz natomiast, ze swym półksiężycem czarnym na piersiach, są to ptaki nadzwyczaj ozdobne; a ponieważ pióra ich są bardziej cenione, więc należałoby starać się o podniesienie ich hodowli.

Nandu, chowany w ogrodzeniu, zjada dziennie w lecie 450 gramów otrąb i 450 gramów kartofli gotowanych, a nadto, jak można najwięcej, zieleniny: sałaty, trawy, resztek kuchennych i t. p. W zimie: 200 gramów otrąb, 550 gramów krajowych buraków i zieleninę. Dane te pozwalają sądzić o kosztach utrzymania jednego ptaka.

Możeby który z naszych hodowców zechciał spróbować zaaklimatyzowania u nas tych ciekawych ptaków?

J. S.

WYPRAWA MYŚLIWSKA
do krainy Maggaï.

Przez
Edwarda Trojanowskiego.

(Ciąg dalszy).

Ja i ludzie moi ustaliśmy zupełnie. Tu też mam zamiar spędzić swą drugą noc i doczekać się ludzi z Athy River Station.

Po parogodzinnym odpoczynku i doskonałem śniadaniu, sporządzonem przez Toma, wyszedłem w kierunku stada zebr, pasących się spokojnie na stepie. Podejść je jednakże okazało się bardzo trudnem. Strzeliłem dwa razy, — pomknęły, podnosząc tumany pyłu. Narachowałem ich przeszło 70.

Po niefortunnych tych strzałach wróciłem w stronę rzeki, mając na myśli, że może ze lwem uda mi się tam spotkać.

Uszedłszy napewno nie więcej nad wiorstę, stanąłem osłupiały. Step palił się przedemną na olbrzymiej przestrzeni, a silny wiatr, podniecając ogień, pędził go w moją stronę z szaloną szybkością. By zapalić samemu step i schronić się na świeżo wypalone miejsce, nie było już czasu i ratunku trzeba było szukać w ucieczce.

Już, już kłęby dymu ogarniały nas, już duszne, pełne żaru powietrze zatykało nam oddech, gdy nawpół żywi dobiegliśmy do rzeki, na szczęście niezbyt głębokiej w tem miejscu, którą przeszliśmy, będąc już po drugiej stronie zupełnie bezpieczni. Wracałem pośpiesznie, obawiając się o obóz, na szczęście jednak, nie zagrażało mu żadne nieb zpieczeństwo.

Po drodze zeszedłem trzy antylopy Thomso-

na, pasące się za wzgórkiem, z których jedną zastrzeliłem.

Wróciwszy do obozu, przed samym wieczorem wyszedłem jeszcze na chwilkę nad rzekę, przypuszczając, że może spotkam tam hypopotamy; jednakże, oprócz stada dzikich perlic, zupełnie do naszych domowych podobnych, nic więcej nie widziałem. W obozie za to zastałem 20 nowych ludzi, którzy przybyli z Athy River St., przynosząc mi resztę moich rzeczy i spory zapas „poscho", czyli bobu, przysłanego mi wraz z workiem kartofli i świeżych jarzyn przez misyonarzy z Macrakos.

Dzień dzisiejszy, tak pełen wrażeń, zakończył się kąpielą i doskonałym kawałkiem udźca, przed paru godzinami zastrzelonej gazelli.

18 lutego. O świcie w dalszą wyruszyłem drogę i niemal dzień cały maszerowałem, wypoczywając tylko około południa.

Dzień dzisiejszy zaliczam do bardzo uciążliwych. Dziewięć godzin marszu pod palącem słońcem podzwrotnikowem to tyle, że zaledwie przeciętny wytrzyma śmiertelnik.

Jeden z moich ludzi zachorował w drodze. Ciężka to praca, dzień cały dźwigać na głowie 75 funtów. Dwie dawki opium, narazie zaaplikowane, postawiły go na nogi. Zwolniłem go przytem od niesienia ciężaru. Czarni są, jak dzieci. Trzeba na nich zwracać baczną uwagę, jak się bowiem przekonałem, powodem choroby był ryż, którego mój pacyent spożył sporą ilość w stanie na wpół surowym.

Około g. 3-ej ujrzałem po raz pierwszy biały szczyt śniegiem pokrytej Monte-Kenia. Jest to jeden z największych, afrykańskich wulkanów, dziś już zupełnie nieczynnych. Wysokość jego przewyższa 6,000 metrów. Lodowce tej góry dają początek dwóm wielkim rzekom, jakiemi są Nyiro i Tana. Pod względem położenia geograficznego, to M. Kenia znajduje się nieomal zupełnie na równiku.

Przedemną widnieje w niedalekiej odległości Donio Sabuk. Jest to także od wieków wygasły wulkan, znacznie niższy jednakże od góry Kenia, którego szczyt i stoki dziewiczym pokryte są lasem.

Przypuszczam, że jutro dojdę do podnóża tej góry.

Wyprzedziwszy swą karawanę, pod sam już wieczór zaszedłem do olbrzymiego gumowego drzewa, stojącego samotnie wśród stepu, w cieniu którego postanowiłem założyć obóz.

Karawana moja, na wpół żywa, przywlokła się, gdy dobrze się już ściemniać zaczęło.

Mówiono mi, że gdzieś po drodze zauważono białego dżentelmana i słyszano strzały.

Dziś, prócz niezliczonych stad antylop, które widziałem, przechodząc wzdłuż rzeki Athy, zeszedłem ogromnego krokodyla, wygrzewającego się na piasku. Niestety, nie zdążyłem strzelić, i zwierz w jednym susie znalazł się pod wodą. Zadziwiającą jest szybkość ruchów tej olbrzymiej jaszczurki. Niemałą też miałem uciechę z dropiem, do którego strzeliłem stalową kulą. Ptak po strzale przewrócił się, nadzwyczajne przytem wykonywując ruchy. Jeden z moich Massai pobiegł, by przynieść zdobycz, tymczasem drop, oprzytomniawszy, zerwał się na nogi, i podfruwując, poleciał kilkaset kroków. Strzeliłem raz jeszcze, podszedłszy go po raz drugi, lecz kula poszła sobie gdzieś w świat, a drop, rozważywszy, że to nie przelewki, zebrał swe siły i umknął na dobre. Przypuszczam, że pierwsza ma kula bardzo blisko przeszła, kontuzyonując zaledwie.

Strzelać teraz wogóle bardzo trudno, z powodu silnego wiatru. Gdym odpoczywał sobie pod drzewem, w oczekiwaniu na swą karawanę, jeden z mych strzelców, powracając z nad rzeki, gdzie chodził po wodę, doniósł mi, że widział nad brzegiem całe stado hipopotamów. Porwałem za sztucer, i zaopatrzywszy się w kule opancerzone, ruszyłem, dobywając resztek sił.

Trzeba było przedzierać się przez krzaki i wysokie trawy, przytem zrobiło się zupełnie ciemno. Nie doszedłszy do rzeki, zawróciłem z powrotem do obozu.

(C. d. n.).

Gawędy starego myśliwego.

X

(Dokończenie).

Z pod zabitego niedźwiedzia wydobyliśmy leśnika, który, oprócz silnego przygniecenia cielskiem niedźwiedzia i odurzenia wśród upadku na ziemię, nie doznał, na szczęście, większego uszkodzenia. Ocaliła go tylko okoliczność, że niedźwiedź nie pochwycił go za głowę, ale pochwycił łapą gruby na piersiach kożuch, kożuch ten rozszarpał wraz ze spodniem odzieniem, i pierś pazurami nieco zranił, ale śpieszna pomoc ocaliła leśnikowi życie. Po chwili wypoczynku i pokrzepieniu się wódką, przyszedł, jak to mówią, do siebie, ale w dalszej wyprawie towarzyszyć już nam nie mógł. Pozostawiliśmy go więc przy zabitym niedźwiedziu, bo trzeba było poszukiwań naszych dokończyć.

Dwóch leśników znaleźliśmy około barłogu bezwładnych, silnie pokaleczonych, zakrwawionych i z poszarpaną odzieżą. Przez kilka miesięcy ludzie ci musieli się leczyć. Pozostały im na pamiątkę liczne szramy na ciele i głowie, jak np. urwane u jednego, wraz z częścią skóry, ucho, a u drugiego spora część policzka, ale nie osłabiło to w nich chęci nowego spotkania się z niedźwiedziem, chociażby dlatego, ażeby odemścić na rodzie niedźwiedzim doznaną krzywdę, i to krzywdę, nie tyle wyrządzoną im na ciele i zdrowiu, ile krzywdę zatrzymania ich w łóżku w ciągu reszty zimy i podczas następnych polowań.

Poruszony z barłogu niedźwiedź, jak się potem okazało, rzucił się natychmiast na jednego z leśników; raniony dwoma strzałami, powalił go na ziemię i zaczął szarpać, a następnie zwrócił się i do drugiego leśnika, który pierwszemu podążył z pomocą i nie miał nawet dość czasu, ażeby drugi raz wystrzelić. Prawdopodobnie interwencya tylko psów ocalała leśnikom życie.

Rozzłoszczony niedźwiedź udał się w stronę naganki, rzucał się kolejno na zastępujących mu drogę, ale oszołomiony krzykiem i strzałami naganki, rozpędzał ją wprawdzie, lecz nie miał czasu pastwić się dłużej nad pochwyconą ofiarą. Wśród naganki jednakże znalazło się aż jedenaście osób pokaleczonych, z których czterech leczyć się musiało dłużej.

O drugiem, ale już osobistem swojem spotkaniu się z niedźwiedziem, podczas pobytu na Syberyi, opowiem wam, towarzysze, później, teraz zaś przypomina mi się pewne zdarzenie innego rodzaju, a więc posłuchajcie.

Jeden z przyjaciół moich, a właściciel ziemski na Litwie, trzymał oswojonego niedźwiedzia. A że niedźwiedź ten był spokojny, posłuszny i nigdy nie dopuścił się jakiegoś nadużycia, więc korzystał z zupełnej swobody, chodził między ludźmi i zwierzętami i nikt go się nie obawiał.

Pewnego razu przyjechał do właściciela majątku żyd, kupiec na zboże, z pobliskiego miasteczka; wjechał na podwórze gospodarcze, pozostawił tam konie i bryczkę, a sam udał się do dworu.

W dniu roboczym ludzi na podwórzu nie było, ale zawędrował tam niedźwiedź, a widząc jakąś

bryczkę, podszedł do tej bryczki i na nią wskoczył. Konie, ujrzawszy niedźwiedzia i spłoszone niespodziewanym jego skokiem, ruszyły z kopyta, przez otwartą bramę wybiegły na drogę i skierowały się ku domowi w miasteczku, o pięć wiorst od majątku odległem.

Niedźwiedź, oszołomiony widocznie wielkim biegiem koni, bał się z bryczki wyskoczyć, i w ten sposób wjechał na rynek miasteczka. Wpadając na podwórze mieszkania, zaczepiona o bramę bryczka, przewróciła się i niedźwiedź z niej wyleciał.

Wjeżdżającego na rynek niedźwiedzia i jego upadek ludzie spostrzegli, zaczęły się więc krzyki i uciekania. Przestraszony i upadkiem i tym krzykiem, niedźwiedź wypadł na rynek, przystanął tam chwilkę, obejrzał się na wszystkie strony, szukając jakiegoś schronienia, a przyzwyczajony wchodzić do domów mieszkalnych i wszystkich innych zabudowań, ujrzał w jednym z budynków większe drzwi otwarte, skierował się w tamtą stronę i wpadł do wnętrza. A była to bóżnica, pełna ludzi, w której kończyła się właśnie jakaś uroczystość weselna.

Łatwo wyobrazić sobie można popłoch, jaki tam ukazanie się niedźwiedzia wywołało. Pouciekali wszyscy, a niedźwiedź, również przestraszony, skrył się w najciemniejszy kąt bóżnicy, gdzie go też zamknięto.

Rzecz się następnie wyjaśniła, dano znać do dworu, przysłano ztamtąd furmankę i po kilkugodzinnym areszcie w bóżnicy, zabrano niedźwiedzia z powrotem.

Nikt z ludzi szwanku nie poniósł, a o licznych scenach komicznych, jakie wypadek ten wywołał, opowiadano przez czas długi i w miasteczku, i w całej tamtejszej okolicy.

Za młodych lat moich były i w Warszawie domy magnackie, w których utrzymywano oswojone niedźwiedzie, jak np. w pałacu hr. Branickich na Nowym Świecie.

L. Łasecz.

TOWARZYSTWO LEŚNE.

Myślistwo stoi w tak ścisłem związku z leśnictwem, że nie wątpimy, iż wszyscy myśliwi zainteresują się sprawą powstającej u nas nowej instytucyi — Towarzystwa leśnego.

Leśnicy nasi, idąc za ogólnym prądem chwili, zrzeszają się. Na zjeździe polskich leśników w Krakowie, który odbył się w d. 19, 20 i 21 sierpnia, poruszono sprawę braku u nas Towarzystwa leśnego. Stowarzyszenia takie istnieją oddawna w Galicyi i Poznańskiem, tylko Królestwo Polskie dotychczas nie zjednoczyło swoich leśników. Zaraz więc na tym zjeździe poruszono kwestyę zaagitowania w tym kierunku u nas i wyznaczono nawet delegatów, w których ręce złożono tę palącą sprawę.

Zadanie ich okazało się nad wyraz wdzięczne i łatwe, bowiem idea zrzeszenia naszych leśników już kiełkowała u nas samodzielnie wśród pewnego koła właścicieli lasów. To też impuls krakowski znalazł grunt gotowy tak, że chodziło tylko o zetknięcie się tych dwóch jednakich, choć z różnych źródeł płynących prądów, aby fakt zrzeszenia leśników stanął na pewnych podstawach.

Zetknięcie się tych prądów nastąpiło właśnie w d. 31 sierpnia w lokalu Polskiego Biura leśnego, na zebraniu organizacyjnem, na którem było obecnych dwudziestu kilku właścicieli lasów i zawodowych leśników.

Zebranym przewodniczył ordynat hr. Maurycy Zamoyski.

Sprawa zrzeszenia naszych leśników, dzięki inicyatywie Zygmunta hr. Platera i Zdzisława ks. Lubomirskiego, posunięta była już u nas tak daleko, że na zebranie hr. Plater przyszedł z gotowym szkicem projektu ustawy Zawodowego Związku leśników, wzorowanym na podobnej ustawie Zawodowego Związku gorzelników. Projektodawca w nowem zrzeszeniu pragnął widzieć instytucyę, która po za ideowem zjednoczeniem właścicieli lasów, miałaby na celu głównie poprawę bytu pracowników leśnych na wszystkich szczeblach tej zawodowej pracy, a więc począwszy od ludzi, pozostających na zwierzchniczych stanowiskach, a skończywszy na gajowych. Projekt miał na uwadze nietylko poprawę bytu materyalnego, lecz i intelektualnego, a więc i zakładanie szkół zawodowych, utworzenia specyalnego pisma i t. p.

Ale oto stała się rzecz niezwykła. Gdy właściciele lasów, więc pracodawcy, wystąpili z projektem, świadczącym, jak na sercu im leży byt pracowników, zawodowi leśnicy, obecni na posiedzeniu przyjąwszy przychylnie projektowane inowacye, oświadczyli się, większością głosów, że im nie idzie o byt własny, im idzie głównie o losy lasów polskich, o ich kulturę, o podniesienie lasoznawstwa wśród nich samych i właścicieli lasów.

Dyskusya, potoczywszy się tym torem, doprowadziła do rezultatu, że projektowany Związek Zawodowy stanie się właściwie Towarzystwem leśnem, które ma w swym programie pomieścić i zadania Związku Zawodowego. Tym sposobem inicyatorowie zamierzają w Towarzystwie zjednoczyć, obok zawodowców, jaknajwiększą liczbę właścicieli lasów, aby i na nich oddziaływać w kierunku podniesienia kultury leśnej.

Do zredagowania ustawy Towarzystwa w myśl powyższej uchwały, wybrana została bezzwłocznie komisya, do której weszli pp.: Teodor Doruchowski, Zygmunt hr. Plater, August Grzychowski, Antoni Ziatkowski, Józef Stankiewicz, Mieczysław Lewicki, Zdzisław ks. Lubomirski, Adam Nowicki, Adam Michalski, Marceli Łączkowski, hr. ordynat Maurycy Zamoyski i Jezierski, rewizor lasów księstwa Łowickiego.

Ponieważ członkowie tej komisyi mieszkają przeważnie na prowincyi, przeto uproszono Zygmunta hr. Platera o naszkicowanie projektu ustawy i rozesłanie go wszystkim członkom komisyi, którzy, po uprzedniem przejrzeniu szkicu, zjadą się w oznaczonym terminie dla ostatecznego przedyskutowania i zredagowania ustawy, która przysłana będzie władzom do zatwierdzenia. Ustawa ma być wzorowaną na ustawie Galicyjskiego Towarzystwa leśnego.

Powstaje tedy instytucya, dla której i interesy krajowego łowiectwa nie będą obojętne.

Zarówno ze społecznego, jak i myśliwskiego stanowiska, instytucyi tej życzymy, aby jaknajszybciej weszła w życie i doszła do najszerszego rozwoju.

J. Z.

Przewóz psów na kolejach.

Przepisy, obowiązujące w r. 1906 na kolejach, odnośnie do przewozu psów w pociągach pasażerskich, okazały się niedostatecznymi i uznano za niezbędne dopełnić je nowymi. Dawne przepisy obowiązywały właściciela psa, jadącego w wagonie bagażowym pasażerskiego pociągu, do przeprowadzenia psa osobiście z jednej odnogi na drugą na sta-

cyach węzłowych. Jeśli właściciel nie zjawił się sam przy zmianie pociągu, wynikały ztąd różne dla niego przykrości. Obecne przepisy ułatwiają tę procedurę. Większe jeszcze dawniej były kłopoty, jeżeli w 12 godzin po przybyciu psa na miejsce przeznaczenia, nie zjawił się jego właściciel do odbioru. W takich razach przepisy nakazywały naczelnikowi stacyi oddawać psa pod opiekę osób prywatnych na koszt właściciela. W razie, gdyby nikt wziąć go nie chciał, z braku odpowiednich przepisów, nie było wiadomo, co z nim począć. Nowe rozporządzenia dają kolei prawo, w takich razach, sprzedać psa przez licytacyę publiczną, a przy braku nabywców, oddać go pod opiekę policyi.

Oprócz dopełnienia przepisów co do przewozu psów pociągami pasażerskimi, okazało się niezbędnem uzupełnić rozporządzenia, tyczące przewozu psów pociągami towarowymi.

Opłata za taki przewóz ustanowioną została w stosunku pół kopiejki od wiorsty za każdego psa (taryfa Nr. 7,275 z r. 1907 zb. tar. Nr. 1857) lub też przy przewozie w klatkach według taryfy towarów I klasy. Pisma rosyjskie zamieszczają nowe przepisy.

1) Psy, oddawane do przewozu pociągami towarowymi, wyprawiane są pierwszym, odchodzącym pociągiem w wagonie towarowym.

2) Psy mogą być przewożone albo w klatkach, koszach, pudłach, dostarczonych przez właścicieli, albo też bez takiego pomieszczenia, ale wówczas powinny być zaopatrzone w kagańce lub mieć pyski ściągnięte rzemieniami i powinny być podczas jazdy przymocowane do wagonów za pomocą rzemieni lub łańcuchów.

3) Jeżeli psy przewożone są w klatkach, koszach i t. p., nie jest koniecznem, aby im kto towarzyszył; lecz jeśli właściciel tego żąda, może im towarzyszyć dozorca. Psom, niepomieszczonym w klatkach lub koszach, musi towarzyszyć przewodnik, wyznaczony przez właściciela.

4) Jako dowód przewozu psa, wystawiony jest kwit i duplikat na zasadach ogólnych, z wykazaniem, czy pies jedzie w pomieszczeniu specyalnem (2), czy bez niego. Jeżeli jedzie w klatce, koszu i t. p., w kwicie bagażowym i w duplikacie powinna być wskazana waga psa z pomieszczeniem.

5) Karmienie, pojenie i wogóle opiekowanie się psem podczas przewozu jest obowiązkiem właściciela, z wyjątkiem, gdy psy zostaną zatrzymane dłużej w drodze z winy kolei.

6) Osobom, wyprawiającym psy, służy prawo oznaczyć ich szacunek. Czyni się to piśmiennie i ten szacunek wypisany jest w kwicie i duplikacie.

7) W razie zgubienia duplikatu na przewóz psa, duplikat kwitu wydaje się właścicielowi jedynie po złożeniu dowodów, iż pies należy do niego. Przyczem odbiorca musi wystawić pokwitowanie z wymienieniem: imienia swego, oraz ojca, nazwiska, miejsca zamieszkania, nazwy i przezwiska psa.

8) Psy powinny być odbierane na miejscach przeznaczenia nie później, jak w 24 godzin po przybyciu pociągu. W razie przeciwnym kolej ma prawo oddać psa, przez żandarmów kolejowych, pod opiekę osób prywatnych na koszt właściciela, i musi być przy tem spisany protokół. W braku osób prywatnych, któreby chciały przyjąć psa na przekarmienie, wziąć go może w tym celu służba kolejowa. Jeżeli osoba, która wzięła psa pod opiekę, trzymać go nadal nie chce, z wiedzą i za pośrednictwem zawiadowcy stacyi pies może być oddany komu innemu.

9) Jeżeli po psa, danego na przekarmienie osobom prywatnym, lub służbie kolejowej, nie zgłosi się właściciel, lub jeśli osoby, które wzięły psa pod opiekę, nadal opiekować się nim nie chcą, w takim razie kolej sprzedaje psa z licytacyi. Jeżeli nikt go kupić nie chce, oddawany jest policyi miejscowej.

Lipska Wystawa Fox-terrierów.

Jeszcze przed pięciu laty lekceważono w Niemczech psy angielskie. Obecnie hodowcy psów zmienili przekonanie. Zaczęto najprzód sprowadzać pojedyncze sztuki prosto z Anglii, a potem rozmnożyła się niesłychanie hodowla psów angielskich, śród których fox-terriery zajmują poczesne miejsce. W Monachium i Berlinie powstały dwa kluby miłośników tych psów, następnie utworzyły się kluby takie w Hamburgu i Lipsku.

Wtedy też zaczęto urządzać w Niemczech wystawy fox-terrierów, obesłane bardzo licznie także przez Austryę, Holandyę, Belgię i Szwajcaryę. Pierwsza wystawa była w Lipsku, mieściło się tu 113 psów. Wnet potem urządzono wystawy takie również w innych miastach niemieckich.

W roku bieżącym Lipsk urządził drugą wystawę. Przewodniczącym komitetu był *stud. jur.* Hans Otto. Sędzią głównym został Clyde Lewis z Newport, zaproszony umyślnie z Anglii znawca fox-terrierów.

Sędzia ten zwracał szczególnie uwagę na to, żeby pies miał płaską, wązką głowę, dobry wyraz, jędrną, twardo-kościstą figurę i lekkie nogi; natomiast mniejszą wagę przywiązywał do: silnego pyska, barwy oczu, postawy nóg i uwłosienia u gładkowłosych; z pomiędzy zaś ostrowłosych usuwał wszystkie, mające za krótką sierć. Zdyskwalifikował także wszystkie fox-terriery, za duże wzrostem.

Wystawę zwiedzało mnóstwo osób. Na cześć gościa angielskiego przybrano ją nietylko w niemieckie, ale i wielko-brytańskie flagi narodowe. Wyniki orzeczenia sądu zostały natychmiast ogłoszone na wielkich plakatach.

W otwartej klasie gładkowłosych psów zakwalifikowano do różnych nagród 15 okazów. Pierwszą nagrodę wziął „Detektor", drugą—„Knight Saxonia". W klasie młodych pierwszą nagrodę wziął „Barrister", drugą—„Oracle". W klasie pocieszenia wziął nagrodę „High Life Darius" p. Fritzsche'go. W klasie suk nagrodę wzięła tegoż „Handy Supreme".

J.

Korespondencye „Łowca Polskiego".

Zoppoty, *w sierpniu.*

Utrapienie z tym deszczem! Cały sezon tegoroczny przepadł dla tych, co szukali wytchnienia po całorocznej pracy, nad szmaragdowemi falami Gdańskiej zatoki. W ciągu drugiej połowy lipca i pierwszej sierpnia mieliśmy zaledwie parę dni pogodnych, pozatem nie było dnia bez deszczu!

Ale w Zoppotach niepodobna usiedzieć pod dachem, więc pelerynę na siebie, parasol w rękę i dalejże dreptać po mokrym, nadmorskim piasku.

W czasie takich deszczowych spacerów ucho myśliwego od czasu do czasu łaskotały odgłosy licznych strzałów, dochodzących jakby z pobliskiego lasu, należącego do leśnictwa Oliwa. Poinformowano nas, że strzały to pochodzą z nowo założonej strzelnicy, w której w poniedziałki i piątki odbywa się towarzyskie strzelanie Zoppockiego oddziału niemieckiego Związku strzeleckiego.

Ciekawość przemogła wszelkie skrupuły i w najbliższym terminie, gdy tylko niebo stało się nieco łaskawsze i wstrzymało na chwilę potoki dżdżu, trzech nas, adeptów św. Huberta, wybrało się do owej strzelnicy.

W ciągu kwadransa pieszej drogi po wybornej żwirówce, znaleźliśmy się na miejscu.

Osobliwe zastaliśmy widowisko. Całą strzelnicę wybudowała — łopata. Na stoku łagodnie pochylonej góry w brzegu lasu, wykopano lunety, splantowano pewną część placu przed lunetami i pobudowano na nim lekkie altany z dachami pappowemi, które zadawalniają wszelkie potrzeby strzelców.

Jest więc i biuro, i kasy, budki sędziowskie, czasowy skład broni i amunicyi, miejsce odpoczynku dla gości, wszystko dostatnie i wygodne. Lunety, wykopane w piasku, zawierają wszelkie, najnowsze urządzenia strzelnicze. Jest stały cel do próbowania sztucerów na 80 metrów; jest przebiegający dzik, zając, wyłaniający się na pewien czas rogacz, wreszcie tor pistoletowy i dla małych sztucerków, z których strzelają damy. U podnóża góry, w kierunku pola, w tym roku żytem obsianego, jest oddzielne urządzenie do strzelania wyrzutek, czyli t. zw. sztucznych gołębi. Wreszcie, powyżej nieco, wśród lasu — istne polowanie; pomiędzy drzewami i kupkami gałęzi przebiegające zające. Urządzenie to jest bardzo zręczne i łudząco naśladujące bieganinę dochodzących do linii na naganie zajęcy. Strzelać do tych zajęcy wolno tylko na dwóch lukach: z prawej strony na węższej luce, na dystansie jakich 30 kroków, i z lewej szerszej, na dystansie do 50 kroków.

Widząc to wszystko, chwyciła nas niepohamowana chęć wzięcia udziału w strzelaniu. Przedstawiliśmy się przeto prezesowi stowarzyszenia, emerytowanemu podpułkownikowi, p. Reimer'owi, oświadczając, że jesteśmy polskimi myśliwymi i pragnęlibyśmy postrzelać sobie trochę. Pan prezes przyjął nas nad wyraz uprzejmie. On to był założycielem Zoppockiego Oddziału stowarzyszenia strzeleckiego i z jego inicyatywy miasto swoim kosztem urządziło tę strzelnicę. Całe urządzenie kosztowało 5,000 marek! Zamiarem p. Reimer'a, między innemi, jest dać możność używania strzeleckiej rozrywki i przygodnie przebywającym w lecie myśliwym. Na razie jednak strzelają tam tylko członkowie stowarzyszenia, i tylko z własnej broni, bowiem wynająć strzelby w Zoppotach niema gdzie. Nie ulega wątpliwości, e przy zabiegliwości niemieckiej już w roku przyszłym znajdzie się przedsiębiorca, który odpowiedniej broni do wynajęcia dostarczy. Na razie jednak zdawało się, że niema sposobu, abyśmy mogli wziąć udział w strzelaniu. Stało się jednak inaczej, niektórzy bowiem członkowie stowarzyszenia z całą uprzejmością ofiarowali nam swoją broń.

Nabywszy więc nieco ładunków, które są niezmiernie tanie (po 10 pfenigów sztuka), udaliśmy się, wraz z całem towarzystwem, na plac, gdzie strzelano do t. zw. sztucznych gołębi. Niemieccy strzelcy, na ogół biorąc, strzelali dobrze, rozbijając po 2 — 3 wyrzutki z seryi 5-ciu.

Przyznam się, że ogarnęła mnie „trema". Strzelać po raz pierwszy do wyrzutek, przytem z 5 strzałowego automatyka Browninga, który miałem po raz pierwszy w ręku, i sprawy ostatecznie nie pokpić,— wydało mi się zadaniem niełatwem.

Na szczęście, pierwszym z nas trzech, stanął na stendzie p. Ch., obywatel z Poznańskiego, wyborny myśliwy, zażywający w Księstwie opinii pierwszorzędnego strzelca. I rzeczywiście, gdy na tle błękitnego nieba zarysowała się jego wysmukła sylwetka na końcu stendu, widać było, że się ma z klasowym strzelcem do czynienia: postawa pewna, spokojna, proste złożenie szybkie. „Los"! i pierwszy gołąb, który wyleciał w powietrze, wyrzucony maszyną, rozleciał się w kawałki; drugi również rozbity. Z 5-ciu p. Ch. rozbił trzy.

Otucha jakaś wstąpiła we mnie. Postawiony na 16 metrów z owym Browningiem, rozbiłem dwa z pięciu. Trzeciemu naszemu towarzyszowi, p. G. z pod Mławy, poszło najgorzej, bo jakoś za prędko mu talerzyki latały; nie rozbił żadnego. Należy tu zaznaczyć, że strzelcy niemieccy każdy nasz strzał trafiony witali najuprzejmiejszem brawem.

Druga serya strzałów naszych miała mniejsze powodzenie. P. Ch. rozbił dwa gołębie, ja jednego, p. G. też jednego. Na usprawiedliwienie nasze niechaj posłuży ta okoliczność, że słońce chyliło się ku zachodowi i do owych gołębi czarnych na tle ciemnego lasu niebardzo dobrze było strzelać.

Przy strzelaniu do przebiegającego zająca, do którego wolno strzelać tylko z jednej lufy, z pomiędzy nas trzech odznaczył się p. G., który wywrócił 4/5, czego myśmy dokonać nie mogli. Wybornie natomiast strzelali bracia Gneisner, którzy, rywalizując ze sobą, parokrotnie zrobili 4/5 i wreszcie starszy zwyciężył.

Nasze niepowodzenie przy strzelaniu do zajęcy przypisujemy głównie temu, że nasz dobrodziej z Browningiem poszedł już do domu, myśmy zaś strzelali z 3-lufek o tak krótkim przykładzie, że niepodobna było złożyć się z tej broni.

Jak ludzie normalnie zbudowani, jak p. Gneisner, mogą wogóle strzelać z broni z takimi przykładami, długo się nad tem zastanawiałem i przyszedłem wreszcie do wniosku, że jest to skutek ich nieprawidłowego stawania do strzału: obaj bracia stają z bardzo szeroko rozstawionemi nogami i cali pochyleni gwałtownie naprzód; to im wytwarza pewne skrócenie szyi i rąk, co jednak nie przeszkadza im strzelać bardzo celnie. Taka to już szkoła!

I tak spędziliśmy czas od godz. 4-ej do 8-ej bardzo przyjemnie. A co nas to kosztowało?

Jako goście stowarzyszenia, zapłaciliśmy po 1 marce, za ładunki po 1 m. 50 pf. i po 50 pf. za strzały, razem po 3 marki. Wogóle płaci się za każdy strzał do sztucznego gołębia 5 pf., w strzelnicy pistoletowej po 2 pf., do zająca po 4 pf., w strzelnicy kulowej po 3 pf.

Bajecznie to tanio i szkoda, że u nas w ten sposób i tak tanio strzelaniem bawić się nie można!

J. Z.

Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Posiedzenie Rady, 3 września. Towarzystwo zwolenników psów rasowych, dziękując za nadesłane przez Oddział żetony na nagrody dla wystawców psów na wystawie Tow., nadesłało swoje żetony na nagrody na nasz konkurs wyżłów.

Główny Zarząd urządzeń rolnych zwrócił się do wszystkich Towarzystw myśliwskich w całem państwie z żądaniem, aby w rocznych sprawozdaniach Zarządy tych Towarzystw zamieszczały więcej szczegółów o stanie zwierzyny w obrębie ich działania, a nie same tylko suche sprawozdanie finansowe. Sprawozdania takie winny być nadsyłane do Głównego Zarządu urządzeń rolnych pod adresem departamentu rolnictwa — nie zaś departamentu leśnego.

Rada wyasygnowała 50 rub. zapomogi dla Towarzystwa opieki nad ubogiemi dziećmi.

Wykazy myśliwskie.

W rewirach księstwa Pszczyńskiego na Szląsku ubito i wytępiono od d. 1 kwietnia 1906 r. do d. 31 marca 1907 r. następującą liczbę zwierzyny:

Użytecznej: 1 żubra, jeleni: wyrosłych 30, śpiczaków 63, łań 107, cieląt 36—razem 236; danieli: łopaciarzy 29, śpiczaków 17, samic 120, cieląt 3 — razem 169; sarn: kozłów 354, kóz 231, koźląt 97 — razem 682; dzików: odyńców 11, wycinków 3, warchlaków 19 — razem

33; zajęcy 9,629, królików 4,008; cietrzewi 105, bażantów 7,445, słonek 108, bekasów 122, kuropatw 2,495, kaczek 2,010, rozmaitych 797 — razem użytecznych 27,840 sztuk.

Drapieżników: wyder 6, lisów 112, kun 33, borsuków 7, tchórzy 318, łasic 987, wiewiórek 2.446, psów 454, kotów 927, sokołów 9, czapli 21, bocianów 60, wron i srok 2,524, wielkich ptaków drapieżnych 295, małych 1,053, rozmaitych 1,514; razem drapieżników 10,808. Ogółem sztuk 38,648.

Drobiazgi myśliwskie.

Stan kuropatw u nas w roku bieżącym jest bardzo słaby. Myśliwi przywożą z polowań przeważnie starki. Wogóle można powiedzieć, że procent padających w tym roku starek przewyższa bardzo znacznie 50% ogólnej liczby zabitych kuropatw. Pogłoski o epidemii, która wyniszczyła w tym roku kuropatwy, zdaje się, nie mają podstawy. Natomiast faktem jest, że tegoroczne lęgi przepadły. Kuropatwy niosły się późno i w polach nieokrytych jeszcze dostatecznie runią, co uprzystępniło do gniazd dostęp wszelkim drapieżnikom i najdrapieżniejszym ze szkodników, pastuszkom. Deszcze wiosenne też zrobiły swoje. Rezultat tych wszystkich okoliczności ujemnych jest taki, że kuropatw jest mało i należy je oszczędzać. Są wprawdzie szczęśliwe oazy w Królestwie, gdzie i w roku bieżącym kury wylęgły się prawidłowo i stada są pełne, jednak okolic takich, o ile nas dochodzą wieści, jest niewiele.

Wszystko, co tu powiedziano o kuropatwach, odnosi się i do bażantów, prowadzonych na dziko.

Wypadek z bronią. D. 8 b. m. p. Bolesław Klonowski, młody syn właściciela dóbr Czajki w pow. pułtuskim, wybrał się na polowanie z kilku młodymi znajomymi, przybyłymi w gościnę. Myśliwi nieopodal Nasielska, dla wypoczynku, wstrzymali się pod lasem, a p. K. usiadł na murawie, położywszy obok siebie broń z odwiedzionym kurkiem. Nieszczęście chciało, iż jeden z towarzyszów usiadł przypadkowo na strzelbie i spowodował wystrzał, przyczem cały nabój uderzył w brzuch p. K. Broczącego krwią odwieziono na stacyę Nasielsk, gdzie założono mu tymczasowy opatrunek, poczem odwieziono go do Warszawy, gdzie zmarł w szpitalu.

Towarzystwa myśliwskie. Departament rolniczy polecił tutejszym zarządom zwrócić się do Tow. myśliwskich z prośbą, aby w sprawozdaniach swych nie ograniczały się do podawania tylko rubryk dochodów i liczby członków, a umieszczały szczegóły o działalności myśliwskiej i wskazywały, jakie przyczyny stoją na przeszkodzie ich działalności. Ostatnimi czasy, na mocy przepisów tymczasowych z d. 17 marca 1906 r. o towarzystwach, komisye gubernialne w Królestwie Polskiem zalegalizowały kilkanaście Tow. myśliwskich. Obecnie niektórzy z naczelników powiatów, w których powiatach działają te Towarzystwa, zażądali przedstawienia relacyi o czynnościach i o liczbie członków.

Skutki burzy. Na polach Skolimowskich, pod Warszawą, włościanie znaleźli masę zabitych przez grad podczas orkanu: kuropatw, ptactwa leśnego, wron, a nawet bocianów. Zauważono, iż ptactwo spłoszone burzą, uleciało z okolic Skolimowa.

Łowiectwo w Poznańskiem. Na zjeździe leśników polskich w Krakowie jeden z referentów, mówiąc o lasach poznańskich, zaznaczył, między innemi, co następuje: Teraz coraz lepiej właściciele lasów zapoznają się z leśnictwem i kształcą się w niem pilnie. Również i łowiectwo w Poznańskiem się podniosło. Jest już tam kilka majętności, na których kilka tysięcy sztuk zwierzyny pada w przeciągu roku od ołowiu. Opieka nad zwierzyną leśną jest bardzo wielka, a w ostatnim czasie w wielu majątkach właściciele sprowadzili z dalszych okolic, jak z Czech i Węgier, a nawet z zaboru rosyjskiego, zające, kuropatwy i bażanty do odświeżania krwi. Kłusownictwu odebrano zupełnie prawo bytu. To też namnożyło się miejscami tyle szaraków, że się prawie klęską stają. Również jest bardzo wiele kuropatw i dzikich bażantów, które się zaaklimatyzowały, sarny chodzą wielkiemi stadami, a rogacze mają silne i piękne rogi. I jelenie, których w pierwszej połowie XIX w. miejscami prawie wcale nie było, rozmnożyły się bardzo. Królików pozbywają się właściciele na wszelki sposób. Obecnie założono w Poznańskiem Towarzystwo łowieckie.

Zgon księcia-myśliwego. Słynny myśliwy i właściciel rozległych rewirów, książę Hans Henryk von Pless zmarł d. 14 sierpnia. Miał on tytuł łowczego królewskiego. Księstwo jego leży na Szlązku pruskim i nazywa się po polsku Księstwem pszczyńskiem.

Zdychanie sarn. Ze stolicy Austryi wyższej, Linz, nad Dunajem, donoszą, że w tamtych rewirach myśliwskich, a głównie w rewirze arcyksięcia Franciszka Salwatora, zauważono masowe zdychanie sarn. Dotąd padło 150 sztuk skutkiem zarazy. Śród wyśliwych wywołało to niepokój. Podług twierdzenia weterynarzy, przyczyną epidemii mają być robaki płucne.

Zaraza zajęcza. W ostatnich czasach otrzymał „Instytut hygieniczny wyższej szkoły weterynaryjnej w Hannowerze“ liczne okazy zajęcy, zdechłych w różnych stronach, które to zwierzęta, podług badań, dokonanych w instytucie, miały krwawe zapalenie krtani i kanałów oddechowych. Bakteryoskopicznie odkryto we krwi, w śledzionie, wątrobie i nerkach, krótkie, nieruchome drobnoustroje z zaokrąglonymi końcami. Bakterye te, hodowane w odpowiedniej kulturze i zaszczepione królikom, świnkom morskim i myszom, wywołały w zwierzętach, wziętych dla doświadczeń, objawy krwawego zapalenia krtani i kanałów oddechowych.

Prezydent Roosevelt i pióra czaple. Amerykańskie Tow. opieki nad ptakami „Audubon Society“, zwróciło się do żony prezydenta Roosevelta z prośbą, aby, jako najwyżej postawiona kobieta w państwie, listem otwartym wyraziła swe potępienie dla mody, nakazującej przybieranie kapeluszy kobiecych piórami czapli, oraz noszenie egretek z tych piór do balowych fryzur. Towarzystwo motywowało ową prośbę tem, iż list pani prezydentowej w sferach, hołdujących tej modzie, odniesie skutek większy od kilkoletniej działalności Związku. Na tę petycyę odpowiedział sam prezydent w te słowa: „Pozwalam sobie w imieniu własnem i mojej żony oświadczyć, że oboje całem sercem sympatyzujemy z działalnością „Audubon Society“, nietylko odnośnie do jej celów zasadniczych, ale i w jego walce ze sprzedażą i noszeniem egret z piór czaplich. Jeżeli to możliwe, mrs. Roosevelt interesuje się tem jeszcze żywiej odemnie. Z głębokim szacunkiem Teodor Roosevelt.

Międzynarodowy konkurs strzelecki odbył się w tych dniach w Zurichu. Strzelanie trwało 3 dni. Z wyjątkiem Holendrów, którzy strzelali ze swej broni „Ordonanz“, wszyscy inni posługiwali się sztucerami Martini kal. 6,5. Szwajcarowie używali amunicyi włoskiej. Rezultat był następujący:

1)	Szwajcarya	4,843 punktów
2)	Belgia	4,672 „
3)	Francya	4,651 „
4)	Argentyna	4,596 „
5)	Holandya	4,360 „
6)	Austrya	4,346 „

Najlepszy rezultat, strzelając w pozycyi stojącej, osiągnął Austryak, Karol Wertgartner, 320 punktów; najlepszy, w pozycyi klęczącej, Szwajcar, Reich-Rorschach, 341 punktów; najlepszy, w pozycyi leżącej, Argentyńczyk, Palmer, 353 punktów.

Ilość psów w rozmaitych krajach. Najwięcej psów, w stosunku do ludności, liczy Francya, która posiada ich 2,800,000, czyli 75 na 1,000 mieszkańców. Niemcy mają psów tylko 38 na 1,000 mieszkańców. Szwecya zaledwie 11. Taka duża ilość psów we Francyi tłómaczy się nietylko miłością do zwierząt, ale również i zamożnością kraju.

Jedzenie psów na znak żałoby praktykuje się u wielu szczepów indyjskichw Ameryce północnej. Pisma amerykańskie opisują świeżo podobny wypadek, który miał miejsce około miasta Walker, w stanie Minnesota. W pokoleniu Leach Lake szczepu indyjskiego Chipewa, zmarł naczelnik Flatmouth. Z tego powodu w całym szczepie panują ogromny smutek i żałoba. Gdy rozeszła się pogłoska, że sędziwy naczelnik wybiera się na „zielone pola Manitu", cały szczep zabrał się do ceremonii śmiertelnych i pogrzeb wych. Zaczęto topić w wodzie psy t zinami, poczem je pieczono na „rożnie" i z wielkim apetytem zjadano. Równocześnie wykonywano „taniec medycynowy" wśród ogromnego wycia żałobnego. Ceremonie, jak biali, którzy im się przyglądali, zapewniają, przedstawiały się bardzo ponuro. Gdy Flatmouth skonał, natychmiast je przerwano, bo wówczas już dusza jego przeniosła się do szczęśliwej krainy wiecznego polowania, gdzie niema białych wrogów wolności indyjskiej.

Pies na usługach policyi. Z inicyatywy klubu św. Huberta w Roubaix odbyła się w tych dniach próba z psami, tresowanymi do pomocy policyi francuskiej. Próba składała się z zadań nieraz dosyć trudnych dla psich pomocników. Chodziło np. o dostanie się przez okno do mieszkania dla obezwładnienia przestępcy. Przedtem jednak wypadało przebyć wysoki mur ogrodowy. Mur, mający wysokości 1,80 m., przebyto z łatwością, a jeden nawet z psów przesadzał mur wysokości 2,30 m. Inne zadanie polegało na ujęciu zbiega na rowerze. Cyklista jechał w szalonem tempie, pies jednak dotrzymywał mu placu i ciągłem szarpaniem za odzież przewrócił wreszcie rower razem z jeźdźcem. Dodać należy, iż psy przyuczone są do obezwładniania lub tropienia lecz nie do kąsania.

Prosny warchlak. Zdolność rozmnożenia się dzików zaczyna się zwykle w 18 miesiącu życia; wyjątki nieznaczne od reguły zdarzają się czasami z powodu nieprawidłowego rozwoju cielesnego i karmy niezwykłej. Ale nawet w zupełnie wyjątkowych warunkach czemś nadzwyczajnem jest stan brzemienny warchlaka. A jednak donosi o fakcie takim p. Edw. Szymniczek z Wysokopola, na Morawach. Tam mianowicie na rozległych rewirach myśliwskich majątku Brunowa, w t. zw. Małych Karpatach, przebywa stado dzików, sprowadzonych ze słynnej puszczy Białowieskiej. Na wiosnę r. b. jeden z nich, warchlak 7-miesięczny, został owocnie pokryty i obecnie oprosił się, dając 8-ro zdrowych prosiąt.

* *

Kosztowna wymówka. — Kto jest ta stara baba, która ustawicznie kręci się około pałacu naszego?

Leśniczy. — Widzi pan, to tak jest: Hrabia wynajął ją na cały sezon polowania. Codziennie sama musi iść do lasu, aby ją hrabia spotkał, gdy wyjdzie na polowanie, — potem ma dobrą wymówkę, gdy przychodzi do domu bez niczego...

Powód szczekania. Pan. — Wojciechu, czemu ta suka tak bez racyi dziś cały dzień szczeka?

Wojciech. — Ano, proszę łaski pana dziedzica, zwyczajnie jak kobieta...

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" **J. O.** *(C. d.).*

Pies.

431. Jak na polowanie, to psy karmić.
432. W poniedziałek to i psy za bydłem ciężko wygnać.
433. Z was posługa, a z psa to druga.
434. Potrzebny, jak pies w kręgielni.
435. Potrzebny, jak pies w kościele.
436. Potrzebny, jak psu drugi ogon.
437. Powodzi mu się, jak psu; w dzbanku jeść dają, a kijem kraszą.
438. Poszedł, jak zlany pies.
439. Tak mu się chce pracować, jak psu orać.
440. Tak to prawda, jak pies płakał.
441. Tak to prawda, jak, że się psy bodły pod gruszą.
442. Prowadzi go, jak psa na smyczy.
443. Niech pies przędzie, a koszula będzie.
444. Przepadł, jak pies na jarmarku.
445. Przepadło, jakby psa ogolił.
446. Przesadził, jak chudy pies przez płot.
447. Przestronno, jak u psa w pysku.
448. Przewiesił się, jak pies na płocie.
449. Przyczepił się, jak oset do psiego ogona.
450. Przyda się, jak psu na budę.
451. Na psa się nie przyda.
452. Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.
453. Przyssał się, jak kleszcz do psiego ucha.
454. Przystaje, jak do psa łyko.
455. Przystoi mu, jak psu przy szpadzie.
456. Pusto, choć psy ganiać.
457. Ani się pies o to nie spyta.
458. Racya fizyka, zjadł pies indyka.
459. Tak temu rad, jakoby mu psi obiad zjedli.
460. Z niego robota, jak ze psa gnój.
461. Kto kocha Rocha, ten i psa jego kocha.
462. Kto nie słucha rodziców, będzie słuchał psiej skóry.
463. Rozczerwienił się, jak dziad na psy.
464. Rudy, jak pies.
465. Ryś ze psa nie będzie.
466. Rzuca się, jak wściekły pies.
467. Rzuca się, jak pies na uwięzi.
468. On do sadu, jak pies do pośladu.
469. Daj to psu, co na sercu masz.
470. Siedzi, jak pies w budzie.

(C. d. n.).

Do niniejszego numeru „Łowca Polskiego" dołącza się zawiadomienie o otwarciu Biura Melioracyj rolnych.

Treść Nr. 18 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego“ wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rb. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego“** 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego“ prenumerować można: w Kantorze Administracyi **„Łowca Polskiego“** Ś-to Krzyzka 36, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego“** adresować należy:

Smolna 40, w Warszawie.

O G Ł O S Z E N I A.

NAKŁADEM REDAKCYI

„Łowca Polskiego“

wyszły nast. dzieła myśliwskie:

	Rb. k.
Ernest v. Dombrowski „Myśliwy jako preparator i kolekcyonista“ t. I	50
Wiktor Stephan „Sarna“ t. I z rysunkami	50
Jan Sztolcman „Ornitologia Łowiecka“ t. I	80
Wiktor Stephan „Zając pospolity“ t. I	70
Dr. O Hilfreich „Pies zdrowy i chory z rysunkami t. I	1.—
Karol Lancaster „Sztuka strzelania i polowania“ z rys. t. I.	80
Ernest hr. Sylva - Tarouca „Hodowca a myśliwy“ t. I	1.20
Jan hr. Ostroróg „Myślistwo z ogary“ t. I	75
Goedde „Hodowla bażantów“ t. I	1.
Rudolf Weber „Żelaza i pułapki myśliwskie“ t. I	75
Dr. Max Neumeister „Żywienie jeleni i sarn“ t. I.	60
C. Cronau „Bażant łowny, jego pokrewne gatunki i krzyżowania. Historya i hodowla bażanta oraz zakładanie bażantarni“ z rysunkami t. I	1.50

Dzieła te są do nabycia w Redakcyi „Łowca Polskiego“ (S-to Krzyżka 36) i we wszystkich księgarniach.

Skład główny w księgarni

K. Treptego

(w Warszawie, Marszałkowska 149).

Redaktor i wydawca **Jan Sztolcman.** **Druk „Drukarni Polskiej“ (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 2.**